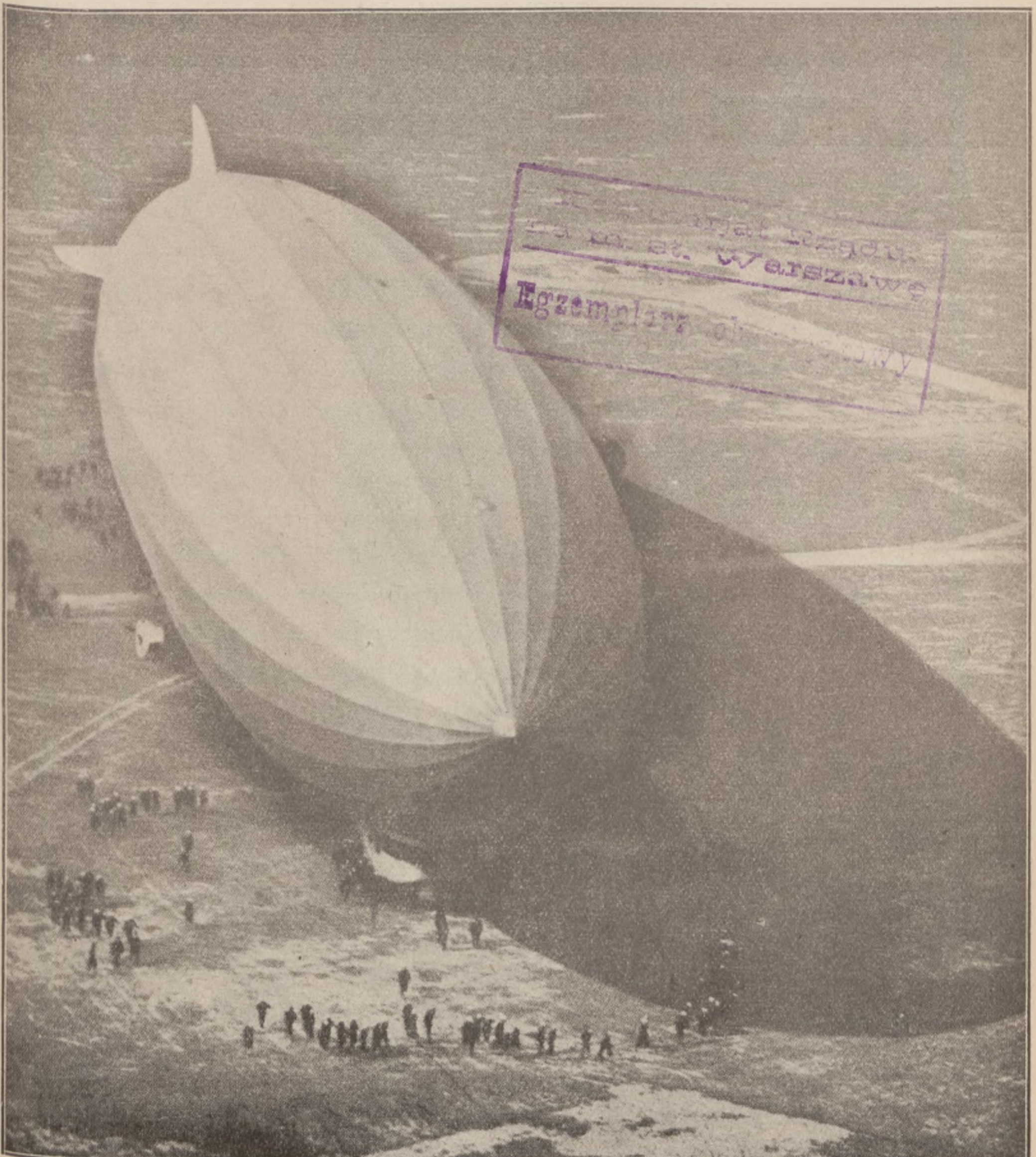
Rok VI. Nr. 3.

H·A·R·C·E·R·Z



KIEDY BĘDZIEMY MIELI TAKI BALON — A KIEDY ZBUDUJEMY?

Niemcy oddali teraz tytułem reparacyj Stanom Zjedn. P. Am. „Zeppelin 3“, który przeleciał nad Atlantykiem z szybkością przeciętnie 88 klm. na godzinę (jak dobry kurjer). Był to piąty z rzędu lot z dokonanych dotąd nad Atlantykiem. A do hangarów w Lakchurst ciągnęło go 300 ludzi.

NIESZCZĘŚLIWY WYPADEK.

W dniu 8-m lutego o godzinie 10 m. 30 rano dwunastoletni Tadzio Z., będąc ciekawym bardzo, co się znajduje za wysokim parkanem w Alei Trzeciego Maja, wdrapał się przy pomocy swych towarzyszy na szczyt parkanu i zajrzał do środka. Co tam zobaczył — nie wiemy, czy zadowolnił swoje zaostrzone ciekawością nadzieje — trudno nam sądzić, ale koniec tego wywiadu był smętny. Chłopcy, podtrzymujący naszego bohatera, zobaczywszy nadchodzącego policjanta, rozbiegli się, a biedny Tadzio ratował się w **ryzykownym skoku,** przyczem tak nieszczęśliwie zetknął się z ziemią, że w rezultacie potłukł się dosyć dotkliwie, podrapał na twarzy i posiniaczył. Chwała Bogu obyło się bez połamania kości, ale **głębsze zranienia** na policzku i na prawej łydce nabawiły Tadzia niemałego strachu. Szczęściem, przechodzący tamtędy harcerze zaalarmowali **Zastęp Ratowniczy Harcerski,** który z całem pietyzmem zaniósł nieszczęsnego Tadzia do opodal stojącej **Stanicy Harcerskiej,** gdzie dyżurujące harcerki opatrzyły mu wszystkie rany, sklejając go i bandażując na wszystkie strony.

Każdy, kto nie chce, aby biedny Tadzio pozostawał w krytycznych chwilach swego życia bez szybkiej, braterskiej pomocy samarytańskiej, — już napewno kupił bilet

Loterji Fantowej na budowę Związkowej Stanicy Harcerskiej w Warszawie.

a innym sprzedał conajmniej 10 biletów. Kto tego nie uczynił — niechaj się spieszy i nie zwleka: z biletem dostanie paczkę z pachnącemi mydełkami, wodą kolońską etc., a zapłacić zań musi tylko 5 złotych. Adres Centrali Loterji: Warszawa, Traugutta 2, Centralna Komisja Dostaw Harcerskich. Konto czekowe P. K. O. № 9605. Bilety nabywać można we wszystkich drużynach i instytucjach harcerskich.

HARCERZ

DWUTYGODNIK MŁODZIEŻY HARCERSKIEJ

ROK VI. 15 LUTY 1925. Nr 3.

HYMN DO SZABLI POLSKIEJ.

O, SZABLO POLSKA, ŚWIĘTA I BEZ SROMU,
NAJŚWIĘTSZĄ PANNĄ ZNACZONA W NASADZIE
OSTRZONA SERCEM I WYKUTA Z GROMU!
O, NIE SŁUŻYŁAŚ TY NIGDY KU ZDRADZIE,
NIE UCZYNIŁAŚ KRZYWDY TY NIKOMU,
PRZED EWANGELJĄ NA MSZY W DEFILADZIE
BOGU PRZYSIĄGŁSZY, ŻE RUNIESZ NA WROGA,
JENO ZA ZIEMIĘ SWĄ I SWEGO BOGA!

O SZABLO POLSKA! PIORUNIE ZE STALI,
OGNISTY WĘŻU I RÓZGO OGNISTA!
ŻEŚMY CIĘ DUSZĄ CAŁĄ UKOCHALI,
JAK POLSKA DUSZA, TAKA JESTEŚ CZYSTA,
BO TA KREW, CO SIĘ JESZCZE RDZĄ KORALI,
CHOCIAŻ SIĘ LAŁA JAKO DESZCZ RZĘSISTA,
KREW TA TRUJĄCA, JAK BÓG W NIEBIE ŻYWIE!
ZAWSZE WYLANĄ BYŁA SPRAWIEDLIWIE...

KORNEL MAKUSZYŃSKI.

B A L O N Y

Już od niepamiętnych czasów człowiek, opanowawszy lądy i morza marzył o zawładnięciu powietrzem. Od dawien dawna myślano o stworzeniu przyrządu, zapomocą którego człowiek mógłby wznieść się w powietrze. O usiłowaniach odkrycia tej tajemnicy świadczą starożytne podania, legendy i mity u wielu ludów pierwotnych.

Najstarszy opis wzlotu człowieka znajdujemy w „Księgach Mojżesza". Według tego podania prorok Bileam wraz synami uratował się, uciekając drogą powietrzną z oblężonego miasta. Bardzo rozpowszechnioną jest prześliczna legenda starożytnych Greków o Dedalu i Ikarze, którzy, przytwierdziwszy sobie woskiem skrzydła orle do ramion, mogli się unosić w powietrzu dopóty, dopóki im słońce wosku nie roztopiło. Podobne fantastyczne opowiadania i mity istniały również u ludów skandynawskich w Jutlandji, na wyspach Karolinach, w Wielkiej Brytanji i t. d.

Ze źródeł wiarogodnych wiemy, że Grek Arechytos, uczeń Pitagorasa, zbudował latającego gołębia. — Również w Chinach podczas uroczystości koronacyjnych cesarza Fa-Kien odbył się w r. 1306 wzlot balonu w Pekinie.— W Europie przeleciał podobno jezioro Trazymeńskie Włoch Danti di Perugja. — W Polsce za Władysława IV latał na skrzydłach własnej konstrukcji rektor Akademji Krakowskiej - Łukasz Piotrowski.

Wogóle nad stworzeniem aparatu lotniczego w ciągu wielu stuleci pracowało nieustannie mnóstwo uczonych, między innymi Galileusz, Toricelli, Franciszek de Lema, Carendisch i Black.—Jednakże nie osiągnęli oni widocznych bezpośrednich wyników. Dopiero w roku 1783 odbył się pierwszy wzlot balonu zbudowanego przez braci Mongolfier.

Zasada wznoszenia się balonów opiera się wyłącznie na prawie Archimedesa, które nam mówi, że każde ciało zanurzone w cieczy lub w gazie traci na swym ciężarze tyle, ile waży ciecz lub gaz w objętości tego ciała. A więc na każde zanurzone ciało działają dwie siły (rys. 1) jedną z nich jest siła ciężkości nazwijmy ją A, skierowana na dół, druga siła P równa co do wielkości ciężarowi tej cieczy lub gazu w objętości ciała, skierowana do góry.



rys. 1.

Wiemy, że każde ciało zanurzone w płynie, albo opada na dno, albo się w nim unosi, albo pływa na powierzchni.

A zależy to od tych sił **P** i **A**. Gdy więc siła $A > P$ ciało opada na dno, gdy siła $A = P$, wówczas ciało w każdem położeniu wewnątrz płynu znajduje się w równowadze, jeśli zaś $A < P$, to ciało unosi się do góry. To samo dzieje się z ciałem zanurzonem w gazie, a więc, żeby balon mógł wznieść się w powietrze wystarcza, aby cały ciężar balonu był mniejszym niż ciężar powietrza, zawartego w jego objętości. Dlatego powłoka balonu wypełniona gazem lżejszym od powietrza jest olbrzymia w stosunku do łódki.

W r. 1783 bracia Mongolfier zbudowali pierwszy balon. Balon ich był zrobiony z papieru podklejonego płótnem. Pod spodem balonu zapalono stos wełny i słomy. Ogrzane w ten sposób powietrze stając się 2 do 3 razy lżejsze od normalnego wypełniło powłokę i ku wielkiemu zdumieniu tłumów balon wzbił się w górę 600 m.

Wiadomość o tem niesłychanem zjawisku dotarła rychło do Paryża i wzbudziła tam niezmierne zainteresowanie. Natychmiast Paryska Akademja Umiejętności złożyła znaczny fundusz na budowę nowego balonu, który za radą prof. Charle'a wypełniono wodorem. Puszczono go w obecności króla i dworu w pobliżu Wersalu. Pod balonem przyczepiono owcę, koguta i kaczkę. Balon wzbił się na wysokość 1500 m., a następnie spadł wraz ze zwierzętami, które nie doznały żadnej krzywdy. Wywołało to szalony entuzjazm w szerokich kołach.

Wkrótce potem i Charles puścił balon swojej konstrukcji, który wzniósłszy się wysoko, spadł w odległości 24 km. od Paryża, gdzie został zupełnie zniszczony przez zabobonnych wieśniaków. Jednakże zarówno Mongolfierki jak i Szarlierki były puszczane początkowo bez ludzi. Mongolfierowie postanowili świat jeszcze bardziej zadziwić i wznieść się samym w powietrze. Jednakże król, obawiając się o życie wynalazców zaproponował, aby do balonu wsadzono przestępcę, skazanego na śmierć. Tymczasem zaofiarowali się dwaj śmiałkowie Pilâtre de Rosier i d'Arlandes i szczęśliwie dokonali wzlotu. Zastanówmy się teraz nad konstrukcją najprostszego balonu.

— — — — — — — — —

Zasadniczo każdy balon, składa się z powłoki, siatki i kosza. Powłoka jest zrobiona z materji nieprzesiąkliwej t. j. niedopuszczającej do dyfuzji gazów, oraz wytrzymałej na wszelkie zmiany atmosferyczne. Wyrabiają powłokę z materji kauczukowej, lub bawełnianej. Powłokę napełniano początkowo wprost ogrzanem powietrzem, następnie wodorem, gazem świetlnym i w ostatnich czasach helem. Sieć ochronna, spleciona z grubych lin, służy do równomiernego rozłożenia ciężaru kosza na całą powłokę. Kosz, do którego wsiadają ludzie, jest przytwierdzony silnie do siatki. W koszu znajduje się balast, spadochron i kotwica. Podróżni bowiem, chcąc wznieść się balonem w górę, wyrzucają balast (worki z piaskiem), gdy zaś chcą się opuścić pociągnięciem liny otwierają wentyl, umieszczony w powłoce i w ten sposób szybka wymiana gazu na cięższe od niego powietrze zmusza balon do opadnięcia.

W chwili spadania balon odbija się o ziemię na dość znaczną wysokość, wówczas pomocną jest ogromnie kotwica, którą lotnicy zaczepiają o przydrożne krzaki, kamienie lub drzewa, i w ten sposób lądowanie jest zabezpieczone. Gdy jednakże kotwica zawiedzie, należy zerwać tak zwany pas zrywalny t. j. odcinek pewien powłoki: wówczas gaz momentalnie uchodzi z balonu. Spadochron służy na wypadek jakiegoś niebezpiecznego uszkodzenia balonu na znacznej wysokości od ziemi.

— — — — — — — — —

Rozwój aeronautyki szybko poszedł naprzód od chwili wynalezienia Mongolfierki. Już w r. 1785 Blanchard i John Jeffries przelecieli kanał la Manche W Polsce zajmowali się balonami prof. Okraszewski, Jaśkiewicz i Jan Śniadecki już w r. 1784. Jednakże wielu przypłaciło życiem te próby żeglugi powietrznej. Genjusz ludzki jednak tem się nie zrażał i rozwój aeronautyki coraz bardziej postępował. Wszelkie usiłowania następne wytężono dla wynalezienia sposobu kierowania balonem w linji poziomej t. j. niezależnie od kierunku wiatru. Podawano początkowo nawet dość zabawne projekty, jak np. przywiązanie do balonów ptaków, któreby nim kierowały, również próbowano rodzaje sterów, śmig i wioseł skrzydłowych. Jednakże siła ludzka nie wystarczała do poruszania tych ostatnich, potrzeba było silników, a motory parowe zanadto balon obciążały.

W r. 1852 inżynier francuski Giffard, stosując dość lekki silnik parowy do poruszania śrub balonu, jako też ster żaglowy, potrafił do pewnego stopnia kierować balonem.

Również bracia Tissaudier oraz pułkownicy Renard i Krebs posługując się elektromotorem wykonali wykreśloną poprzednio podróż. Jednakże te balony, stosunkowo nieźle funkcjonujące w powietrzu spokojnem, nie mogły podołać nawet lekkim wiatrom. Wiatry bowiem w naszej atmosferze wieją z szybkością 5 lub 6 m. na sek. a więc balon, poruszający się przeciw wiatrowi, musiałby mieć prędkość znacznie większą. Wraz z szybkością wzrósłby opór powietrza, aby go więc pokonać trzeba użyć silnika o dość dużej dzielności. A taki silnik parowy ważyłby za dużo.

Wszystkie wysiłki wynalazców przeto skierowane były ku zmniejszeniu ciężaru motorów.

Wysiłki te zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem dopiero w ostatnich latach 19 stulecia, kiedy ulepszono silniki spalinowe, szeroko stosowane w samochodach. Przedewszystkiem zastosowano do budowy owych silników aluminjum, co znakomicie zmniejszyło ich ciężar.

Lekki więc, o dużej sprawności i wydajności motor rozwiązał sprawę kierowania balonami. Na osi jego umieszczona śmiga wkręca się linją śrubową w powietrze i wyzyskując opór tegoż, ciągnie balon naprzód — jednocześnie płaszczyzny sterowe dają możność kierowania balonem w linji poziomej.

Zastosowano dalej mnóstwo innych ulepszeń, a więc zmieniono kształt balonu z kulistego na wrzecionowaty, wreszcie walcowaty i dodano wielkie płaszczyzny t. zw. stabilizatory, zamiast jednej, umieszczono kilka śmig, które pomagają przy utrzymywaniu równowagi balonu.

W pracy nad udoskonaleniem statków powietrznych wsławili się hr. Zeppelin, major Parserd Gross, Santos Dumond, b-cia Zebandy i inż. Juillot. Santos Dumond pierwszy w r. 1901 na swoim „dirigeable'u“ t. j. balonie sterowym okrążył wieżę Eiffel i opuścił się na miejscu, przedtem oznaczonem. Sprawił on wielkie wrażenie na mieszkańców Paryża i następnemi wzlotami, przelatując często nad miastem, i udając się balonem na spacery, wyścigi. Jednakże osiągnął on szybkość tylko 8 m/sek., gdy natomiast Zeppelin w tym czasie osiągnął niesłychaną liczbę 18 m/sek. Pracowano nad rozwojem aeronautyki b. usilnie w Niemczech Francji, Anglji, Stanach Zjednoczonych z coraz to lepszymi wynikami.

— — — — — — — — —

Jeśli chodzi o konstrukcję najnowszych balonów, to rozróżniamy zasadniczo 3 typy: niesztywne, półsztywne i sztywne. Do balonów niesztywnych należą pierwowzory Mongolfierów, z czasów późniejszych Santos Dunwuta, Parsevala. Mają one tę wyższość nad balonami innej kategorji, że lądują bez porównania spokojniej i pewniej. Także nieobciążone usztywniającem je rusztowaniem mają większą siłę nośną.

Balony systemu sztywnego mają rusztowanie, wzmacniające całą powłokę.

Przedstawiają one większe bezpieczeństwo w powietrzu od balonów niesztywnych.

Budową takich balonów wstawił się hr. Zeppelin. Balony jego składają się ze sztywnego szkieletu glinowego, poprzedzielanego przegrodami na 17 komórek. W tych częściach umieszczone są małe balony i dopiero cały szkielet pokryty jest powłoką. Balon taki jest bezpieczny i bardziej odporny na działania atmosferyczne.

Jeden z takich balonów pierwszy przeleciał ocean Atlantycki w r. 1924.

Co do balonów półsztywnych, do których należą sterowce braci Lebandy, to łączą one w sobie 2 poprzednie systemy — nie mają coprawda sztywnego szkieletu, ale dolna część powłoki jest usztywniona belką lub rurą stalową.

Balon ma przedewszystkiem niezmierne znaczenie dla świata naukowego.

Dał on uczonym możność badania zjawisk atmosferycznych, które do tego czasu były nieodgadnioną niemal tajemnicą. Już w samych początkach rozwoju t. j. w r. 1803 wznoszono się balonem w celu zbadania ciśnienia, temperatury, prądów powietrznych i elektryczności atmosferycznej w strefach górnych. Rekordową wysokością, osiągniętą przez balon jest 11050 m., na taką wysokość ludzie się nie wznoszą, tylko, znajdujące się w balonie przyrządy samozapisujące, notują zmiany atmosferyczne na tak olbrzymich wysokościach.

Jak więc widzimy, balon objął jedną z najgłówniejszych ról w przeprowadzaniu badań meteorologicznych.

W celach wojskowych, zaliczają balony do służby obserwacyjnej. Każdy oddział artylerji posiada takie balony, które zostają puszczane na uwięzi i obserwują pozycje nieprzyjacielskie.

Wreszcie używane są balony, jako transportowce, wskutek swej dużej siły nośnej.

Jeśli chodzi o komunikację pasażerską, to wobec rozwoju aeroplanów, mających dużo większą szybkość, muszą balony zejść na plan drugi.

Jednak warto zaznaczyć, że ostatnio sprowadzono z Niemiec do St. Zj. Am. Poł. właśnie balon systemu Zeppelina, który ma utrzymywać stałą łączność między stanami Środkowemi a południem.

Na zakończenie kilka liczb tyczących się balonów, a więc—mogą one utrzymać się w powietrzu 100 godz. bez przerwy — najdłuższy zaś lot bez lądowania wynosi 3050 km.

K. P.

VI. Żeńska Druż. H. im. Kr. Jadwigi.

Z ŻYCIA SKAUTÓW

Kupiłem trzy (3!) losy na budowę Stanicy, więc już napewno nie będę brudny, będę miał domek wśród lasku, samochód, nie stracę puszystego dywanu, będę pisał korespondencję do Harcerza na „ślicznej“ maszynie, a nawet będzie mi ciepło bez futra (w lecie), jak o tem wszystkiem **urzędownie** ogłoszono w „Harcmistrzu“ i to na pierwszej stronicy.

Ale co więcej! Prócz mydła, wody kolońskiej, 7 gatunków „do zębów“ dostałem broszurę „W Polsce będzie lepiej”, a przeczytawszy ją od deski do deski, dowiedziałem się, że Naczelnictwo mieści się w Alei Jerozolimskiej 37 m. 12. O! myślę sobie, czyżby to Stanica już gotowa, a może tylko praca skarbowa Z. H. P. — wydobyła w miesiącu rzetelności wszystkie **zaległe opłaty** i Naczelnictwo kupiło lokal?

Pędzę w Jerozolimskie, z trudem mijam okolice, przekopane w związku z budową tunelu kolejowego — i szukam „37 m. 12“. Harcerstwa ani śladu. Nadchodzi stróż z podejrzliwą miną — przypominam sobie zasadę strategji: jeśli ci grozi atak, sam atakuj— pytam o N. Z. H. P. „Takiego pana tu nie znamy”. Wycofuję się w porządku i—myślę, myślę, myślę—przypominam sobie wszystko, co w wypadkach **stracenia śladu** zaleca zrobić

Baden Powell, Seton i nasz swojski Sopoćko-Grzymałowski w „Na tropach zwierząt i ludzi“, książce, która jeszcze wprawdzie nie wyszła, ale wyjdzie. „Zatoczyć koło”—jakie koło, gdzie koło? „Odrysować ostatni ślad“—kombinuję, „łatwiej będzie odszukać“, ale zaraz myślę sobie „Trochę tobie, mój drogi, pogorszyło się, co tu będziesz odrysowywał?“. Jest! Sprawdźmy w broszurze! Sprawdzam: czarno na białem: „Al. Jer. 37/12“. A może to Ujazdowskie? Stary adres, który znam, tylko przekręcony? — Lecę w Ujazdowskie: Jest! Smętna stara tablica (harcerze kochają swoje Naczelnictwo, nie chcą więc zrobić mu przykrości ofiarowaniem nowej, aby to nie było złą wróżbą dla budowy Stanicy) na bramie głosi: „N. Z. H. P.“

Jak ciotkę chudą kocham, zrobię skandal Działowi Propagandy za takie adresy—krzyczę w złości [harcerz panuje nad sobą Przyp. Redakcji]. „Moje uszanowanie Panu, czem mogę służyć, jestem właśnie Dział Propagandy” — mówi słodkim głosem wychodząc z bramy ponura postać w czarnych okularach, z niesamowicie pękatą teką.

W krótkiej rozmowie — (p. Dział Propagandy śpieszy się wypuścić 333-ci komunikat)—dowiaduję się, że to nieszczęsny składacz w drukarni narobił tego kłopotu z adresem.

Miód i cukier, płynące z ust pana w czarnych okularach i moje serce napełniają słodyczą—a dobrze się dzieje, bo oto na pierwszych drzwiach lokalu Naczelnictwa widzę napis „G.K.Ż.“ Delikatniutko pukam—nikt się nie odzywa, zaglądam przez dziurkę od klucza—pokój pusty; studjuję rozkład godzin urzędowych: aha, trzeba później przyjść po wywiad!

Pukam w inne drzwi — proszą — wchodzę. Gdzie jestem? W katakumbach rzymskich, w kopalni, w grocie smoka? **Smoka tymczasem nie widać;** widzę natomiast w słabem oświetleniu, coprawda elektrycznem, pod piecem skuloną postać zakutaną w swetery, futra, koce, szybko przebierającą palcami po maszynie do pisania w takt dyktowanej przez drugą postać melodji cudnej... rozkazu N.Z.H.P. l. 7373/3737. Uprzejma Druhna Pani Szefowa (ona to właśnie dyktowała) dowiaduje się, że chodzi o wywiad, wychodzi na chwilę do drugiego pokoju i komunikuje mi, że przyjmie mnie **sam sekretarz generalny.**

Nabieram ducha, mobilizuję całą moją odwagę, nastawiam gramofon mej wymowy — i staję przed dygnitarzem, który prosi siadać. Tu opis dostojnika: postać nie wysoka, nie niska, w sam raz (jak ta pularda, co to ani miękka, ani twarda), fizjognomja ruchliwa, zwłaszcza oczy, które wesoło latają, w jednem oku monokl (mnie nie zaimponował, zaraz wyciągnąłem dwa monokle i włożyłem w oboje oczu), na nogach białe nieśmiertelne getry. To ma być absolwent Gillwelu, ten elegant z morskiej pianki? Zakręciłem nosem—ale po kilku zdaniach rozmowy przyszedłem do przekonania, że harcerz nie musi być brudny i źle ubrany, aby być dzielnym harcerzem. Widać, że i lwiątko salonowe może być godne uznania przez Skauta Naczelnego za jego przedstawiciela u nas w dziale obozowania, jak to zaproponowano Druhowi Lusiowi.

A o czem rozmawialiśmy — innym razem.

R. o. ż.

* * *

Minęły długie narodowe noce,
Świt — Wielkie zorze. Tam ogromny blask,
Jak gdyby wszystkich jasnych duchów moce,
Jak gdyby zdroje wszystkich dawnych łask
Spłynęły na nas — wieścić wolę Pana
Wszystkich przed cudem rzucić na kolana.

Błogosławieni, którym rdza zwątpienia
Nie zgryzła nigdy jasnej ducha stali —
Co mieli w sobie blask tego płomienia,
Który się w noce narodowe pali,
Co z wiarą ciężkie składali ofiary —
Bo dziś im podług ich staje się wiary.

Błogosławieni także, którym znojne życie
Na karki nazbyt ciężkie kładło brzemię —
Co w długie noce zwątpili o świcie,
Co krwią i potem swym zraszając ziemię,
Z ufnością spojrzeć wzwyż nie byli zdolni,
Bo wszyscy dziś już wolni, wszyscy wolni...

Błogosławieni starcy śnieżni, których oczy
I serca cudem radować się mogą
Błogosławiona nasza młodzież, co w życie kroczy,
Mężnie się zmagając z minionych klęsk trwogą
Błogosławiony lud, wolności głodny,
Błogosławiony godny i ten, co nie godny.

Bo wszystkim dzwon królewski brzmi dzisiaj z Wawelu
I nad wszystkich orłowy znak skrzydła roztoczy
Po strasznych oczekiwań dniach i latach wielu
Wszycy mieć będą od łez pełne oczy
„Urodzeni w niewoli, okuci w powiciu"
Całując ziemię wolną po raz pierwszy w życiu.

St. M.

Październik 1918 roku.

WISŁĄ DO GDAŃSKA

Przystępując do opisu naszej wyprawy, wydaje mi się koniecznem wskazać pewne szczegóły łodzi żaglowej i wyjaśnić sposób używania żagli.

Od zwykłej łodzi różni łódź żaglową przedewszystkiem posiadanie t. zw. Szwertu*). Jest to tarcza żelazna, przesunięta przez szczelinę w dnie łodzi i wystająca pod łodzią całą prawie powierzchnią.

Jakie jest przeznaczenie owego Szwertu, wyjaśni przykład. Rzadko zdarza się, żeby kierunek wiatru był zupełnie zgodny z kierunkiem naszej nowej drogi zamierzonej. Szwert umożliwia łodzi utrzymywać się w kierunku wyznaczonym przez ster i *nie pozwoli* — stawiając wodzie opór swoją powierzchnią — zepchnąć łodzi w bok. Bardzo ważną rolą przypada Szwertowi przy lawirowaniu.



POSTÓJ.

Wyrazem tym określa się jazdę pod wiatr zakosami. Otóż przy zmianie kierunku jazdy, nieraz prawie o 180^0 łódź obraca się w miejscu na Szwercie jak na osi. Bez Szwertu manewr ten jest prawie niemożliwy do wykonania. Zwrócę uwagę, że ster musi być bardzo mocny, gdyż często przypada mu praca bardzo duża.

Maszt w górnej części przymocowany jest linkami do boków łodzi i jej dzioba. Stalowe te linki — wanty—chronią maszt przed wyłamaniem w oprawie, lub przed złamaniem w górnej części przy silniejszym wietrze. Ożaglowanie łodzi składa się z dwóch żagli. Wielki żagiel—grot— rozpięty między masztem, górną reją (gaf) i dolną reją (bom — niema boma) jest kształtem zbliżony do trapezu.

Mniejszy żagiel trójkątny — fok — kliewer — wciągany na bloku po przedniej wancie wypełnia trójkąt między tą wantą i masztem. Powierzchnia żagli musi być dostosowana do rozmiarów łodzi, ale zależnie od siły wiatru może być jeszcze od tej normy zmniejszona b. znacznie.

W tym celu wielki żagiel refujemy—t. zn. nawijamy na bom, obracając nim. Duży fok zastępujemy małym fokiem. Ważną rzeczą jest pokrycie łodzi pokładem.

Pokład pokrywa przód, boki i tył łodzi, pozostawiając otwarty tylko środek. Ważne to jest, gdyż łódź bardzo często przy bocznym wietrze jest silnie pochylona. Nieraz przy wzburzonej wodzie i to nie chroni łodzi przed bryzgami woky.

Czytelnicy drodzy, wybaczcie mi to marudzenie. Już ruszamy! Zapasy,

---

*) Polskie słownictwo żeglarskie prawie nie istnieje. Nazwy najczęściej spotykamy holenderskie, niemieckie, angielskie.

narzędzia, liny, garnki, ba! materace poukładane tak, żeby pozostawiały załodze względną swobodę ruchów.

Na przystani A. Z. S. garstka żegnających — pomagają, dogadują, zazdroszczą. Ostatni rzut oka — i dziób na wodę! — Szczęśliwej podróży! A pisz!

Jedziemy pod wiatr, więc lawir. Zygzakiem w poprzek Wisły od brzegu do brzegu.

Mijamy Warszawę. Wszysko idzie dobrze.

Na moście Kierbedzia przechodnie z zainteresowaniem śledzą nasze manewry. Łódź ładnie kładzie się. Balastujemy ją, siadając na burcie nawietrznej.

Zanim odjedziemy pozwólcie Czytelniczki i Czytelnicy przedstawić się: łódź — Nautilus; załoga — same pedadogi, poprostu belfry, klasyk — kapitan, historyk i dwóch fizyków — obsługa.

Tymczasem mijamy cytadelę. Wiatr wzmaga się, koło Bielan — wiatr bardzo silny. Rafujemy żagle. Wszystko idzie cudownie. Wisła wzburzona. Łódź pochylona kraje grzywiaste fale, sprawiając nam prysznic nielada.

W tej chwili zwraca naszą uwagę jakieś złowrogie trzeszczenie w pobliżu masztu. Jesteśmy mocno zaniepokojeni. Jeszcze jeden zwrot i odkrywamy przyczynę naszego niespokoju. To pokład z lewej strony odrywa się od boków łodzi. C. d. n.

RADY DLA ZASTĘPOWYCH

Gry poniżej podane stanowią przygotowanie do pionierki.

Dwie końcowe wymagają dużej woli.

I. Poznanie węzłów dotykiem.

Cel. a). Wprawa w wiązaniu węzłów. b). Ćwiczenie dotyku.

Przebieg. Zastęp siada naokoło stołu. Ręce schowane pod stół. Zastępowy wiąże kolejno węzły na linkach i podaje pod stołem najbliższemu z grających. Ten poznaje węzeł dotykiem i oddaje go następnym. Kiedy wszystkie węzły wrócą do zastępowego, chłopcy zapisują na kartkach ich nazwy.

Ocena. Węzeł rozpoznany — 1, nierozpoznany — 0.

II. Węzły po omacku.

Cel. — Jak wyżej. **Przebieg.** Zastęp stoi w szeregu. Każda z harcerek lub każdy z harcerzy trzyma z tyłu linkę. Zastępowy poleca zawiązać na obu końcach linki dwa różne węzły (kluczkę zaciągającą się i ratowniczy).

Harcerze po zawiązaniu oddają kolejno linki.

Ocena. Pierwszy oddający tyle punktów, ilu graczy, drugi o 1 punkt mniej, kto podał tylko 1 węzeł, otrzymuje połowę, za niezawiązanie żadnego — 0.

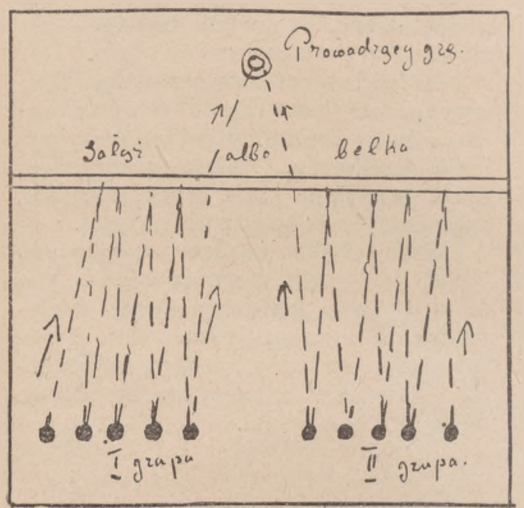
Odmiana. Każdy z graczy ma 2 lub 3 linki. Ocena odpowiednio zmieniona.

III. Wyścig węzłów.

Cel. a). Wprawa w szybkiem wiązaniu. b). Opanowanie ruchów. **Przebieg.** Dwie grupy dziewcząt lub chłopców lub 2 zastępy stoją w rzędach lub w szeregach obok siebie

W odległości 10 — 30 kroków przed każdą partją leży 1 duża lina. Prowadzący określa węzeł. Na gwizdek pierwsi harcerze z oddziałów biegną do swojej liny, wiążą węzeł, rozwią-

zują, kładą linę i biegną z powrotem, uderzając po drodze następnego w szeregu. Uderzony biegnie do liny. Ostatni z partji wiąże węzeł i szybko oddaje linę przewodniczącemu.



Rys. I.

Ocena. Zwycięska partja otrzymuje tyle punktów, o ilu graczy wyprzedziła przeciwnika.

IV. Wyścig z przeszkodami.

Cel. a). Jak poprzednio. b). Wspinanie się po linie. **Przebieg.** Ustawienie patrz Rys. I. Przed partjami w pewnej odległości znajdują się 2 drzewa, belka pozioma na 2½-3 metrów nad ziemią, lub jedno drzewo z długą poziomą gałęzią.

Pierwsi harcerze trzymają liny w ręku. Na gwizdek biegną do przeszkody, zarzucają liny i za pomocą węzła więziennego dostają się na szczyt, poczem zsuwają się i linę odnoszą następnemu. Ostatni harcerz oddaje linę prowadzącemu.

Ocena. — jak pod III.

W. P. S.

NAD MORZEM JAPOŃSKIEM

(Wspomnienia plutonowego Władywostockiej Druż. Harcer.).

Był to dzień pochmurny; silny wiatr wiał od strony Oceanu Spokojnego. Miasto jeszcze spało, gdy około kościółka djecezjalnego o godzinie piątej rano zebrało się sporo młodzieży: byli to chłopcy z plutonu lądowego: „wilki“, „kruki“, „lisy“, „jelenie“. Zrobiłem apel, warty wszędzie rozstawiono, jak gdyby było to gdzieś w polu, a nieprzyjaciel miał lada chwila nadejść, gorsze było nasze położenie, bo czyhał na nas wróg w postaci „komsomolców“, wróg w postaci tajnych szpiegów bolszewickich. Mieliśmy wycieczkę, więc rozkazałem odmarsz. Szliśmy zaułkami, gdzie było mało ludzi... rozsypkami... Miałem zamiar przejechać na drugą stronę zatoki „Złoty Bóg“, następnie udać się w gąszcze pobliskiego lasu. Przybyliśmy na miejsce, gdzie stała mniejsza łódź drużyny („wilki morskie” podówczas odbywały dwutygodniową podróż morską na „Koronie“). Usadowiwszy się w „Konkordji“ odbyliśmy małą podróż morską. Morze wstrząsało nią, jakgdyby chciało pochłonąć nas wraz z łodzią, która zresztą nieraz już dała się we znaki plutonowi morskiemu. Zostawiwszy „Konkordję” u Chińczyków na przechowanie, pomaszerowaliśmy do lasku. Chińczycy zdziwieni zapytywali nas, patrząc na nas i na naszą łódź: „Szyma kapitan?“ („czego panie“). — „Maja choczu łodka ostawi“. [1]) — mówię im. — „E szango, szango“ [2]) — odpowiadają. Nareszcie

[1]) „Chcę łódkę zostawić”.

[2]) „Dobrze, dobrze”.

stanęliśmy w lesie, rozłożono ognisko. Rozpocząłem pogadankę, o pracy i obowiązkach obywalela, chłopcy słuchają z uwagą.

A potem rozlega się ze wszystkich ust pieśń: „Płynie Wisła, płynie po Polskiej krainie". Twarze chłopców spoważniały, a dusza i myśl były wówczas gdzieś tam, daleko, o 12000 wiorst, w Polsce. I zdawało się, iż te dwa czynniki (dusza i myśl) przemawiały: „O Polsko, Polsko, my Twoi synowie, nikt nie widzi naszej wielkiej, ofiarnej miłości ku Tobie, my jesteśmy daleko od Ciebie. O daleko! Polsko, my Twoi! Polsko, może prędko będziemy u Ciebie, a nasi bracia Harcerze uścisną nam dłoń„. Skończyliśmy śpiew, przepytuję prawo: „No Józiu, powiedz mi, jak brzmi dziesiąte prawo? — „Harcerz jest czysty...... czysty...... nie pije tytoniu i nie pali napojów alkoholowych". Wszyscy wybuchają śmiechem. Twarze są rozpromienione. Zabawiamy się w trzeciaka. Niespodzianie zjawia się Chińczyk, wita nas: „niń chao kapitan, wasza szybka charaszo igraj", [3])— częstując herbatą, którą przyniósł ze sobą. Lecz ten spokój i wesołość wkrótce znikły: jeden z wartowników przybiega i melduje, iż jacyś niewiadomi ludzie posuwają się w kierunku obozowiska. Rozkazałem chłopcom zaprzestać rozmowy po polsku i przygotowałem się już na przyjęcie gości, ale Opatrzność widać czuwała nad nami. Byli to „komsomolcy", którzy widocznie nie dostrzegli nas, bo poszli w zupełnie odmiennym kierunku. Odśpiewaliśmy pocichu „Rotę", pożegnaliśmy gościnnego Chińczyka, mówiąc: „chao chodia", [4]) i powróciliśmy znów „Konkordją". Wśród fal i deszczu ulewnego, wśród bałwanów, uderzających silnie o łódź, było słychać ciche: „Choć burza huczy w koło nas....."

---

[3]) Dzień dobry panie, bardzo dobrze zabawiacie się".

[4]) „ Do widzenia panie".

Harcerzu polski! I ty nie ustawaj w swej pracy, pamiętaj, iż jesteś synem tej Matki, naszej ukochanej Ojczyzny i z takim zapałem, jak Drużyna Władywostocka pracowała w warunkach nader ciężkich, wołając w duszy: „Polsko, wszystko dla Ciebie"! — tak i ty pracuj.



Latarnia morska pod Władywostokiem.

Wilno, styczeń 1925 r.

S. Czeladzin.

SZARADA.

Pierwszy i trzeci na drogach napada,
Z piątego dzieci uczy się gromada,
Drugiego imię nosi syn Podwala,
Siódme pokazać śmiech zawsze zniewala,
Czwartego nie wolno trafić z nas żadnemu,
Boby się Twemu dziwili szóstemu.
Tak czwarty pędzi i nigdy nie wraca,
A cofnąć go żadna nie jest w stanie praca.
Więc druhno, druhu, weź z każdego słowa
Po jednej, pierwszej z początku literze
I niechże teraz twoja mądra głowa
Głoski te z sobą zgrabnie dobierze
By powstał wyraz, co imię zawiera
Pisemka znanego. Tak radzi...
„Pantera".

Rozwiązanie należy nadsyłać do dn. 2 marca, nagrody ogłosimy w przyszłym Nr.

Z KSIĄŻEK

Fr. Rawita Gawroński, *Moje Przygody w roku 1863 — 1864 w Kijowie,* z portretem autora, „Księgarnia Polska", Tow. Polskiej Macierzy Szkolnej, Warszawa, str. 118.

We wspomnieniu starca, dobrze zasłużonego swej ojczyźnie, wraca ten rok jego życia, gdy jako uczeń klasy VI wraz z kolegami opuścił Kijów, by połączyć się z ruchem powstańczym.

Potem aresztowany, długie miesiące spędza w więzieniu, patrząc na cierpienia towarzyszy, podziwiając ich odwagę w chwili zgonu. O sobie mówi niewiele. Nie potęguje swych cierpień, nie podnosi zasługi. Zawsze ma na myśli sprawę narodu, sprawę wolności. Patrjotyzm nie przeszkadza mu w oddawaniu sprawiedliwości wrogom.

Ale widzi autor jasno wyższość polskiej kultury nad rosyjską, widzi i uzasadnia zachowaniem się więźniów wobec bliskiej śmierci. Polacy umierają spokojnie, bez słowa, z wiarą w zwycięstwo sprawiedliwości, Rosjanie z okrzykiem buntu i potępienia dla tych, co złamali ich osobiste szczęście.

O rzeczach bolesnych i okropnych mówi autor poważnie, niekiedy nawet z humorem, jakby chciał przez to zaświadczyć, że brzemię z miłością niesione lekkie jest. *Z. Szmydtowa.*

SZOPKA HARCERSKA

Było jeszcze szaro, gdy wchodziłem do Sal gabinetu Naczelnego Redaktora „Harcerza". Redakcja, jak każda redakcja. Biurko, wielkie nożyczki do skracania artykułów, ogromny **kosz** wypełniony po brzegi, kasa ogniotrwała. Nie bawiłem długo. Posłano mię na Smolną. Tam w szkole im. Zamoyskiego czwórka warszawska wystawiła—Szopkę—Operę—słynnego Rogacza. Gdy przybyłem, z tłoku przed bramą wynoszono trzech zemdlonych, a silny oddział policji porządkował „ogonek" wystający aż na Nowy Świat. W braku biletów musiano każde miejsce podzielić na cztery ćwiartki.

Na trzy godziny przed terminem ledwie przepchnąłem się na salę. Wreszcie zbliża się chwila. Widownia nabita szczelnie, głowa przy głowie. Nastrój uroczysty. Zgromadzona publiczność z szacunkiem wita możnych tego świata: Oto mignął rzymski profil drużynowego—gospodarza. Oto w bratniej zgodzie ręka w rękę suną dwaj komendanci Stolicy — ten który był, i ten który będzie. W przejściu wolno płynie długa, biała broda Mahometa. Za nim druh Naczelnik G.K. w błyszczącej świcie. A wreszcie—Rada Naczelna, Rada wchodzi w podwoje. Majestatycznie sunie rząd dostojnych osób i zasiada.

* * *

Bliski początek przedstawienia zwiastowały liczne odgłosy. Zadzwoniła łopatka w kociołek, gdzieś pękła żarówka, potem grzmot—reżyser pono zleciał z krzesła. Kurtyna się rozwarła.

Dyrektor teatru z krainy bajbajów powitał publiczność piękną przemową o treści przewodniej: „Śmiej się z bliźniego twego, jak z siebie samego".

Pierwszy akt, harcerze w obozie—miał znaczenie symboliczno — techniczne. Nie mówiąc o rzewnej piosence:

„Pije Kuba do Jakóba naszą zupę duszkiem,
Pyta Kuba się Jakóba, jak tam z twoim [brzuszkiem
A kto nie wypije, tego widok marny:
Nie pomoże święty Boże, będzie raport [karny",

Podobało się ogromnie ulepszone obieranie kartofli łopatką.

(Jeden z emerytów drużynowych zwierzył mi się, że on podobny system od 3 lat wprowadzał w życie).

Potem szli przez sceną do Betlejem wielcy i mali:

Szedł druh Bazewicz w cylindrze i z mapą w ręku, wiodąc za sobą harcerzy, Król belgijski żegnał Tadzia bardzo dobrotliwie. Szedł paskarz z paskarzówną, a że było bardzo gorąco w sali, usiedli sobie na scenie.

Wreszcie przyszedł dziadek z kuną na ramieniu i urządził licytację. Co tam sprzedawał, nie spisać.

Ale tłok był zbyt wielki — zostali.

Akt trzeci uczynił wstrząsające wrażenie. Święty Piotr (miał tę samą brodę co dwaj poprzedni dziadowie) czynił sąd Ostateczny. Szły do piekła całe drużyny z kocami i w cielakach. Czart rzucał w ogień piekielny wielkich i małych, czynnych i nieczynnych. I dobrze, że „Redaktor" niecny się dowiedział, jaki los go spotka za znęcanie się nad biednym i słabym jeszcze „Harcerzem“.

Będziesz drukował „Niedzielne Wiadomości Piekielne“ a kiedy przyjdzie bida, będziesz miał nie jednego... do pomocy. Czytelniku dośpiewaj w duszy.

Nawet pogański prorok Mahomet, zredukowany przez Turków w Angorze ugiął przed Ś. Piotrem kolana. A ten nad zbiedzonym w Komendzie Chorągwi się ulitował i wołał:

A więc bywaj druhu stary
Anieli, grajcie fanfary
Niechaj w całym świecie wiedzą,
Że harcerze w niebie siedzą.

Byłem wzruszony, ktoś obok szlochał. Przez łzy widziałem autora jak przy wrzasku aktorów leciał pod sufit i z. powrotem. Trwało to b. długo.

Na zakończenie uwaga. Zbytnie podobieństwo charakterów na widowni i na scenie mści się straszliwie: Po 1 palto do szatni zgłosiło się pono 2 druhów, ten z szopki i prawdziwy, w rezultacie bez palta wrócili do domu, a kto z nich jest prawdziwy, osądzi w marcu Najwyższy Sąd Harcerski.

KĄCIK HUMORYSTYCZNY

Ośmioletni chłopczyk, spacerując z nauczycielką po ulicy, zgubił się nagle w tłumie. Nie tracąc jednak przytomności umysłu, udał się rezolutny młodzieniec do policjanta stojącego na rogu i zapytał.

— Czy nie widział Pan tu młodej Pani?

— Owszem odrzekł z uśmiechem policjant, widziałem ich nawet wiele.

— Ale czy nie widział Pan takiej bez chłopczyka, upierał się pytający?

— Widziałem

— Och, to dobrze, ja jestem tym małym chłopczykiem, niech mnie pan zaprowadzi do tej Pani!



POZNAŃ.

— Harcerskie kółko artystyczne powstało przy hufcu poznańskim i cieszy się bardzo dobrymi wynikami swej dotychczasowej pracy. Na czele kółka stanął dh. Jarosz Stefan. Pierwszym występem było urządzenie „Betlejem Polskie" Rydla; mimo drobnych usterek cieszyła się ona nadzwyczajnem powodzeniem. 22 stycznia natomiast zainicjowana uroczystość wieczorna z okazji rocznicy powstania styczniowego przysporzyła kołu młodemu wielu przyjaciół.

Piękny to był wieczór, w którym uczczono obecnych na sali weteranów z 1863 r. — Po słowie wstępnem barwnie przypomniał jeden z weteranów p. Wacław Świnarski

kilka epizodów z przed 62 lat, następnie urozmaiciły wieczór śpiewy solowe i harcerskie zbiorowe, deklamacje oraz obraz dram. 3 aktowy Dominika „w Górę serce". Całość zrobiła b. miłe wrażenie i radość, że harcerze pamiętają o swych rocznicach.

Wieczór ten uświetnili swą obecnością Kurator Chrzanowski Bernard, dowódzca korpusu gen. K. Raszewski oraz wielu przedstawicieli władz rządowych i samorządowych.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Dhowi J. M. 15. Sos. D. H. Ogromnie ucieszyła się Redakcja Waszym listem. Chcielibyśmy zachęcić Was do pracy na obranem przez Was polu. Piszecie sami, żeśmy „wszyscy duszą prości" więc i my w sposób prosty chcemy dodać Wam otuchy. Otóż możecie dojść do dobrych wyników, ale musicie jeszcze wiele popracować. Przedewszystkiem musicie dużo czytać, poznać wzory nietylko naszych wieszczów, ale też ich następców w literaturze, wreszcie zaznajomić się z techniką poezji, bo bez tego zmarnujecie swoje zdolności.

Ilekroć zechcecie, Redakcja będzie Wam służyła radą i pomocą.

I jeszcze jedno. Czy naprawdę uważacie, że to, co powinno być ozdobą i dumą człowieka, zasługuje na taką ocenę, jak to chyba przez omyłkę napisaliście, radząc otrzeć z czoła „ten pot siny, życia — brud". Pot bywa brudny. ale on jest chyba wdziękiem życia. Czy nie tak?

Czekamy dalszych materjałów.

Radzymiakowi. Z Waszej notatki nabrała Redakcja podejrzenia że jesteście strasznie skąpi. Nie bądźcie tacy, przyślijcie więcej, abyśmy mogli i dla „Harcerza" coś wybrać i Wam jak pragniecie — służyć wskazówkami. Narazie jedno dla nas jest pewne — macie styl względnie dobry, ale gubicie w słowach treść. Domyślamy się, że treść chcecie dawać głęboką. I pamiętajcie, aby wyraźne stwarzać obrazy, bardziej dokładne, niż przysłany.

Przyślecie?



Trzynastka warszawska (której miłe twarze wraz z jej pięknym sztandarem widzą Czytelnicy na niniejszej rycinie) pragnąc wymienić poglądy, pomysły i t. p. prosi inne drużyny (zwłaszcza kresowe) o nadesłanie swych adresów (Warszawa, pl. 3 Krzyży 8, izba harc. 13 drużyny).

Mówić oddzielnie o Idei i Technice harcerstwa byłoby to samo, co chcieć zbudować parter jakiegoś domu w Warszawie, a pierwsze piętro tuż przy ziemi w Poznaniu.

Technika harcerska jest żaglem. Prawo harcerskie jest wiatrem. Żagiel bez wiatru zwiesza się nieruchomo u swego masztu, a wiatr bez żagla jest tylko... wiatrem.

Z samej Techniki harcerstwa, (gdyż każda dobrze zrozumiana technika jest altruizmem), możnaby zrobić dobrą zabawę, skupienie wobec przyrody, ratownictwo, opanowanie samego siebie, kształcenie swych nerwów i miłości ziemi.

I byłoby to jeszcze harcerstwo.

Idea harcerstwa jest koncepcją filozoficzną, i w gruncie rzeczy jest tylko ideą moralności ludzkiej wszystkich czasów. Bez Techniki słowo „harcerstwo" nie dałoby się do niej dostosować.

AFRYKAŃSKIE PRZYGODY

I. Próba odwagi.

— To straszny kraj! — powiedział Piotr Winston, odpoczywając na stromym brzegu zupełnie wyschłej rzeki, którą przed chwilą przekroczył.

Piotr miał wiele powodów niechęci dla Południowej Afryki. Od kilkunastu już dni, podróżując na własnych nogach, poszukiwał zajęcia. Podczas ostatnich ośmiu godzin odwiedził 3 fermy, gdzie pracę jego oceniano tak nisko, że uważaćby to można było za obrazę.

— Młody niedołęga, świeżo przybyły z Anglji, który nie wie nawet, jak zaprząc parę wołów — to najbardziej uprzejme zdanie, jakiem go żegnano.

Wieczór się zbliżał, było nieznośnie gorąco, nogi bolały, plecak ciężył okropnie, a co najgorsze, dokuczało Piotrowi pragnienie. Tymczasem słońce wypiło z rzeki ostatnią kroplę wilgoci.

O dwie mile stąd znajdowała się nilowa oaza i biały domek, ostatnia nadzieja Piotra.

Po pewnym czasie spostrzegł człowieka, zajętego kopaniem.

— Czy pan Haythome? — zapytał.

„Tak, czego pan sobie życzy" — odpowiedział zagadnięty. Opalona twarz fermera miała wyraz zmęczony.

Piotr ponowił znów swą prośbę o pracę.

—Pracy— powtórzył gorzko Haythome.— Mój dzielny chłopcze, ja zaledwie sam siebie mogę utrzymać, o pomocnikach niema mowy. Nie, ja nie mam nic dla ciebie.

Wyraz twarzy Piotra musiał go jednak zastanowić.

— Mogę ci tylko dać kolację i nocleg— powiedział — udaj się do mego mieszkania i powiedz synowi, że to ja cię przysyłam.

Wyrządzasz mi pan dobrodziejstwo — rzekł Piotr z wdzięcznością i ruszył we wskazanym kierunku. Myśli jego były jednak ponure. Źle. W tym kraju niema pracy. I począł marzyć o posadzie w biurze wuja. Tutaj wydawało się tak, jakgdyby miał umrzeć z głodu.

I tak dalece pogrążył się w samotnych myślach, że stracił kierunek i nagle ujrzał przed sobą wysoki płot. Przejścia nie było. Zrzucił więc plecak i począł przelazić przez przeszkodę.

— Wynoś się pan stąd — usłyszał nagle. Jakiś chłopak stał w odległości stu metrów i wywijał bronią. — Wynoś się głupcze! czy nie widzisz strusi!

Rzeczywiście Piotr zauważył parę dużych ptaków.

Lecz w tejże chwili poza chłopcem ukazał się inny, szybko nadbiegający ptak: był to, wysoki prawie na osiem stóp, struś-kogut.

Chociaż Piotr był ignorantem w podobnych rzeczach, ale instynktownie przeczuł niebezpieczeństwo i zawołał „Odwróć się, tam za tobą biegnie jeden z nich".

Chłopak obejrzał się i nagle rzucił się do ucieczki w kierunku palisady. Struś zbliżał się doń ogromnemi skokami. Z szeroko rozpostartemi skrzydłami, z szyją wygiętą w tył nakształt węża i z otwartym dziobem, wyglądał jak potężna bestja.

Piotr widział, że ścigany nie zdąży dobiec do palisady, to też schwyciwszy swą grubą, laskę, rzucił się na ratunek. Wprawdzie słyszał on mało o strusiach i nie wiedział o tem, że duży kogut jest równie niebezpieczny, jak lew. Dla niego jednak był to tylko ptak.

Chłopak biegł naprzeciwko i wołał — Uciekaj, bo struś skończy z nami obydwoma. Ten jednak zbyt był zajęty swoją ofiarą, by zauważyć Piotra, który nadbiegł z boku i uderzył kijem po długiej szyi.

Struś zatoczył się z tak wielką siłą, że wytrącił mu z rąk laskę i ogłuszonego powalił na ziemię, jednak z rozpędu sam stracił równowagę i upadł, bijąc w ziemię skrzydłami jak cepem. Uratowany chłopak schwycił laskę zbawcy i począł bić strusia, trzepocącego się mu u nóg. Ale ptak miał już dosyć walki: zerwał się i uciekł, zresztą, równie jak i przedtem silny.

Wtedy dopiero zwrócił się chłopak do Piotra:

— Jak się czujesz przyjacielu.

— N-nie zupełnie źle — odpowiedział — tamten.

— Bardzo mnie to cieszy. Taki atak na strusia świadczy o wielkiej odwadze. A to dopiero zdradziecka bestja. Byłbym w jego szponach, gdybyć go pan nie dopadł.—Pomógłszy wstać leżącemu — zapytał: — Jak się pan nazywa.

— Piotr Winston —

—Ja zaś jestem Joe Haythome—Mieszkam tu obok.

Wskazał na fermę.

— Wiem już — rozmawiałem właśnie z panem Haythome. Polecił mi udać się do swego domu i pozwolił spędzić tam noc.

— Ma się rozumieć, może pan. Rad jestem bardzo z poznania pana. Pan zapewne przybywa z Anglji?

— Tak, jestem tu od miesiąca. Usiłowałem znaleść jakąś pracę, ale nikt jej tu nie potrzebuje.

Poszli w kierunku domu, rozmawiając z ożywieniem, jak starzy znajomi.

Dom był duży i dobrze zbudowany, ale umeblowany skromnie. Joe przedstawił Piotra swej matce, sympatycznej, mówiącej miękkim akcentem, kobiecie, i swojej młodej siostrze oraz bratu. Następnie pomógł Piotr Joemu nakarmić konia i wydoić krowy.

— Umiesz pracować zupełnie dobrze,— pochwalił Joe, kiedy powrócili na kolację.— Powiem ojcu, że zrobilibyśmy dobrze, zatrzymując cię, ale będzie to pewnie trudne.

— Będę pracował za utrzymanie — powiedział Piotr.

— Cóż robić Winston! Nam wystarcza zaledwie na własne utrzymanie! Wstyd! Jeżeliby mi było dla.... tu zatrzymał się, jakby nie chciał wyjawić jakiejś tajemnicy.

Kolacja była skromna, ale Piotr był zbyt głodnym, by być wymagającym.

Właśnie kończyli kolację, kiedy rozległo się ciężkie stąpanie i jakiś obcy wszedł do pokoju. Był to wysoki, chudy Duńczyk, z żółtą twarzą i przebiegłemi oczami. Żywa rozmowa urwała się natychmiast.

— Dobry wieczór, panie Doorn — powiedział etykietalnie Mr. Haythome. — Może się pan napije kawy.

— Nie, nic nie chcę — odpowiedział niegrzecznie przybyły.—Przychodzę, aby pomówić z panem o... pan wie o czem. Obaj wyszli do pokoju przyjęć.

— Chodzi o djament, mamo — powiedział cichym głosem Joe. Spuścili głowy. Z poza zamkniętych drzwi dochodził gwar, w pewnej chwili usłyszano stuk wywróconego krzesła.

— Zatem nie chce pan go sprzedać? — doszedł szorstki głos Doorna.

— Nie! za to, co pan ofiarowuje nie oddam — odpowiedział krótko Haythome.

— Zatem jesteś pan głupcem. Wszyscy anglicy są głupcami, ale pan jesteś największym.

— Skoro pan przestanie ubliżać mi w moim własnym domu, będzie pan łaskaw wyjść za drzwi — odpowiedział fermer. Drzwi otworzyły się gwałtownie i Piotr zobaczył Haythoma z groźnym wyrazem.

— Dobrze, wyjdę — rzekł Duńczyk, — ale będziesz żałował pan tego, wstrętny angliku.

— To pan będziesz żałował, jeżeli się nie pospieszysz — zawołał, podbiegając, Joe. Pod siłą jego błyszczącego spojrzenia Doorn, wściekły, spuścił głowę i szybko wyszedł.

Piotr spędził cały wieczór z tymi sympatycznymi ludźmi, następnie zasnął twardo na przygotowanem łóżku. Ale kiedy się obudził rano i stwierdził, że musi udać się na dalsze, przykre poszukiwanie pracy, duszę jego przejął żal i lęk.

Przy śniadaniu wszyscy byli smutni i milczący. Przed wyruszeniem w drogę Piotr zwrócił się do p. Haythome.

— Serdecznie dziękuję za przyjęcie p. Haythome,—powiedział.—Teraz się muszę pożegnać i udać w dalszą podróż.

Radbym był bardzo, gdybyśmy ci mogli pomóc — odpowiedział smutnym głosem p. Haythome.

— Ależ ja doskonale rozumiem, że nie możecie tego uczynić — usiłował uśmiechnąć się Piotr.

— Zaczekaj! — krzyknął Mr. Haythome tak nagle, że Piotr podskoczył. — Uważaj, Winkon, rozmawiałem z Joem i zdecydowaliśmy się zrobić ci jedną propozycję.

Piotr usiadł. Serce jego biło mocno.

— Słyszałeś, co Doorn mówił ostatniej nocy — rozpoczął fermer. — Przychodziłem po djament. Djament ten ofiarował mi Raff, któremu wyświadczyłem kiedyś dużą przysługę. Uratowałem go od lwa, a on wzamian, umierając przed kilku tygodniami przysłał po mnie i ofiarował mi ten kamień. Jest to piękny okaz, wart moc pieniędzy. Doorn dowiedział się o nim, i, sądząc, że zechcę go wysłać do Cape Town, strzeże mnie pilnie. Ofiarował mi zań 100 funtów, lecz jego rzeczywista wartość wynosi blisko 2 tysiące. Ale, gdyby ktoś nawet chciał mi zapłacić uczciwie, ja, nie mogąc wynająć potrzebnej pomocy, nie jestem w stanie go wywieść. Niechętnie pozwoliłbym temu nędznemu Duńczykowi ukraść mi go.—Tu zatrzymał się i twardo popatrzał na Piotra.

— Pan chce, żebym go zabrał ze sobą—powiedział szybko młodzieniec.

— O to mi właśnie chodzi — odpowiedział fermer i gdybyś to mógł zrobić, wziąłbym cię do siebie, nauczyłbym gospodarowania, i dawałbym ci robotę tak długo, jak długobyś chciał tu przebywać.

Zanim Piotr zdążył odpowiedzieć, pani Haythome rzekła.

— Janie! To nie jest dobry pomysł. Piotr nie zna niebezpieczeństwa, na które się naraża. Ten straszny człowiek może go zabić!

— Jestem gotów przyjąć każdy los — odpowiedział z uśmiechem Piotr.—Wydaje mi się, że to jest jednak dobra myśl. Nikt bowiem nie będzie przypuszczał, że taki biedny, jak ja, mógłby posiadać djament.

— To są właśnie istotne powody — ciągnął gorąco fermer. — To jedyna dla nas okazja i bylibyśmy głupcami, gdybyśmy z niej nie skorzystali. (Dok. nast.).

Z J A W Y

Od czasu, kiedy matka Tadzia drżącą ręką pakowała trochę rzeczy do placaka podróżnego, upłynęło dni sporo. Chłopak się rozrósł, shardział i nabrał żołnierskiej fantazji. A choć już niewielu kolegów szkolnych przetrwało do tej chwili twarde pieszczoty wojenki, on trzymał się dzielnie, i tylko twarz się ściągnęła, a między brwiami wyrosła marsowa bruzda. Na tkliwości i wspomnienia oczywiście nie było czasu. Tylko parę razy podczas noclegu pod ulewnym deszczem zjawił się w pamięci zaciszny salonik, drzewa za oknami i obraz z Samossierrą czy Raszynem na ścianie. Na obrazie siarczyste grenadjery w metrowych bermycach stały frontem na zielonej jak bibuła trawie, a co piąty bohaterskim ruchem puszczał broń i padał ranny na ziemię. W dali paliła się wieś. Książe Józef w czerwonym kaszkecie wyciągał rękę, a złocisty adjutant z okrwawioną głową sadził w nieruchomym galopie. Tadek otrząsał się prędko zazwyczaj. Wstydził się nawet trochę i rumienił w duszy, bo przecie tylko dzieciak może zachwycać się malowaną wojną, gdzie wojsko kolorowe stoi w dwuszeregu pod ogniem armat.

. . . .

Przez fatalnie śliską grudę Tadek pędził przed siebie, taczając się jak pijany. Na prawo i na lewo zadyszane rekruty waliły się co chwila w czarne błoto. Nikt już nie zwracał uwagi na zachrypnięte okrzyki porucznika. Każdy padał, gdy się pośliznął, strzelał i bieg znowu, albo „robił trupa". Mrzył deszczyk. Zagajnik we mgle naprzeciw trząsł się od łoskotu, kule bzykały w górze, lub pluskały w rolę. Już blisko. Obok sąsiad z prawej przysiadł i począł jęczeć ropaczliwie. Po chwili, widać trafiny lepiej raz drugi, upadł na bok, rzęził. Ktoś dalej wrzasnął: „sanitarjusz". Krew biła do głowy, serce przychodziło do gardła. Sąsiad z lewej klął brutalnie gilzę, która uwięzła w lufie. „Bagnet na broń: Szturm". Hura... a!!. Zagajnik zachłystnął się od histerycznego trzasku. Kule, jak deszcz, dzwoniły w hełmy. Runęli do środka. Doprawdy sił brakło. Linja tyraljery porwała się, jak glista, wśród wzgórz i zarośli. Chłopak ostatkiem sił biegł przed siebie za którymś z kolegów. Gdzieś z za sosenki wyjrzała lufa karabinowa, a nad nią przekrzywiony łeb Chińczyka. „Bagnetem!" Grzmotnął strzał. Z głęboko wciągniętem powietrzem wtargnął w piersi straszliwy ból. Tadek widział, jak poprzednik wpakował szeroki bagnet w skurczony bok Mangoła, potem świat cały wywinął koziołka...

. . . .

Oddycha wolno, ostrożnie. Boli mniej, Z trudem odchyla przymrużone powieki. Nowy obraz w poczerniałej ramie wisi tuż, tuż. Słońce srebrzy skrzyżowane pasy woltyżerów. Czerwone kity grenadjerskie, jak grzędy maków. Żółte wyłogi błyszczą równym frontem. Z czoła płynie pot. Bataljon stoi jak mur. Co to? Bohaterskim ruchem stary, ginący grenadjer zwalił się na ziemię. Szczęknęła opuszczona lufa. „Szlusuj!". Dziwne. W oddali wymalowany sąsiedni czworobok oderwał się od sadów, jak obłok od chmury, i maszeruje przed siebie po błoniu. Książe Józef dłoń opuścił i pogalopował ku niemu w błyszczącej świcie. Granat z nieba upadł na trawę i buchnął płomień. Za nim drugi, trzeci, dziesiąty. Grzmot! Adjutant na rozhukanym koniu dopadł szefa

bataljonu, salutuje. Major dobył szpady, zamigotały złote szlify, „Bataljon maszerować! Kompanja marsz!„ Gniotą murawę na szerokość gościńca. Sześciu doboszy bije w bębny co sił „Równaj!“ ryczy porucznik. „Równać, psia krew“,klnie sierżant na skrzydle. Babach! Granat trzepnął w sam środek kolumny. Wrzask: „Szlusuj, Szlusuj, równaj!“ Ziemia się trzęsie pod miarowym krokiem. Ktoś Tadka uniósł z ziemi. Jemu się zdaje, że kolega trąca. „Uważaj do stu!..“ Czapka z orłem na blasze uwiera nieznośnie. Krótki pałasz chrzęści w pochwie.. Przed nim, spowita kłębami dymu, wieś płonie. Prawa kolumna już spędza wrogą tyralierę. „Nie trzęśta mówi sanitarjusz do kolegi przy noszach, bo tego chudziaka nie doniesiem żywego“. „Podwójny krok!”. Teraz toczą się jak lawina. Tadek czuje ból w piersi i głowa mu cięży, ale to nic, kiedy bagnet w ręku, a wróg niedaleko. Nagle tentent od tyłu. Pędzi cała chmara, świeci się złoto, błyszczą czarne gęby mameluków. Jaskrawe dolmany latają, jak skrzydła.

A wśród tłumu na białym koniu — On...

„Wiw lamperer“ wrzeszczy jakieś wąsate chłopisko w szeregu. „Wiw lamperer“ ryczy cała kolumna, jak opętana. „Niech żyje“, krzyczy Tadek, aż krew ustami broczy...

W ambulansie dwaj lekarze kiwają poważnie głowami nad małym żołnierzem na skrwawionych noszach.

M. N-i.

Redakcja bardzo prosi druhny i druhów, aby nadsyłali artykuły i korespondencje do każdego numeru w porę. Zamykamy numer 3-go i 17-go każdego miesiąca. Po tym terminie nadesłane artykuły idą już nie do numeru na 15-go czy 30-go danego miesiąca, lecz do następnego.

Z braku miejsca odkładamy część nadesłanego materjału do następnych numerów.

PRENUMERATA WYNOSI:

Rocznie	wraz z przesyłką	12 zł.
Półrocznie	„ „ „	6 „
Kwartalnie	„ „ „	3 „
Miesięcznie	„ „ „	1 „

CENY OGŁOSZEŃ:

Za całą stronę.	100 zł.
„ 1/2 strony.	55 „
„ 1/4 „	30 „

Numer pojedyńczy 50 groszy.

Prenumeratę wpłacać należy na konto P. K. O. № 10,020 albo przekazem pocztowym do administracji „Harcerza“ w Warszawie, ul. Traugutta № 2.

Adres redakcji: Warszawa, Al. Ujazdowska 37 m. 12.

Wydawca: *Naczelnictwo Związku Harcerstwa Polskiego.* Redaktor: *T. Uhma.*

Druk. p. f. „LECH”, Sp. z o. o., Warszawa, ul. Koszykowa № 33. Tel.403-66.